# ROZMAITOŚCI.

**Dnia 25. Czerwca.** **№ 26.** **Roku 1856.**

## JEZIORO DE GERS.

**(Z powieści genewskich R. Toepffera.)**

*(Z francuzkiego.)*

(Dokończenie. Ob. Nr. 24. 25. Rozmaitości.)

Teraz niewiedziałem już zupełnie co myśléć i co począć. Lękałem się nawet, czy niepogorszy to mego położenia, co powiedziałem temu człowiekowi, który mógł donieść o tém przemytnikom, jeśli sam nienależał do ich bandy. Tym sposobem wyobraźnia moja zaczynała zasępiać się coraz bardziéj, i gdyby nie igraszki dwóch wiewiórek, które mię cokolwiek rozrywały, byłbym bardzo nieszczęśliwy. Te zwinne, ale lękliwe zwierzątka sądząc, że są same w lesie, igrały z tą swobodną wesołością i wdziękiem, które nieprzeczuwają żadnego niebezpieczeństwa, i ścigając się z drzewa na drzewo, bawiły mię żywością swych skoków i nadzwyczajną zręcznością swych obrotów. Ponieważ stanowiłem jedno ciało z modrzewiem, jedna z nich przebiegła w zapalczywości po mnie, by wskoczyć na poblizkie drzewo, gdzie ją ścigała druga z gałęzi na gałąź aż do wierzchołka. Nagle przysiadły obie nieruchomie, jakby na dany znak, z czego mogłem wnosić, że z wysokości swéj ujźrzały kogoś nadchodzącego.

I nieomyliłem się wcale. Wkrótce bowiem ukazał się jakiś gruby jegomość w towarzystwie mojego wieśniaka. Figura ta miała trzy podbródki, twarz jak księżyc w pełni, oczko maleńkie, ale na nieszczęście bardzo przenikliwe, kapelusz trzygraniasty i płaszcz z ogonem. Gdy mię spostrzegł. przybrał natychmiast postawę badającego.

— „Kto waćpan jesteś?“ — zawołałem.

— „Wójt gminy“ — odrzekł nieruszając się z miejsca.

— „A więc, panie wójcie gminy, wzywam cię, abyś mię odwiązał albo kazał odwiązać temu podwładnemu, który u twego boku nabija swój nos tabaką.“

— „Jeszcze będzie czas na to“ — rzekli obadwaj równocześnie.... „Wysłuchajmy najpierw twéj sprawy!“ — dodał wójt.

Nauczony doświadczeniem, postanowiłem niewspomnąć więcéj ani słowa o przemytnikach.

— „Mojéj historyi żądacie? to rzecz bardzo prosta. Napadli mię zbójcy, zra-

bowali i przywiązali do tego drzewa, a teraz żądam, abyście mię uwolnili natychmiast.“

— „A, to ważny wypadek!“ — zawołał wójt. — „Więc zbójcy, powiadasz.“

— „Tak jest, zbójcy. Przebywałem te góry z mułem, który niósł mój tłumok. Zabrali mi i muła i tłumok...“

— „A, to ważny wypadek!“

— „Zapewne, że ważny! A teraz przystąpcie do dzieła, i odwiążcie mię natychmiast. Dalejże!“

— „To ważny wypadek!“ — powtarzał nieruszając się wcale. — „Ha — tu będzie wiele pisaniny i kosztu......“

— „Czyś oszalał, człowiecze; na co mi twéj bazgraniny; odwiąż mię tylko!!...“

— „Ale bo widzisz, przyjacielu, trzeba spisać protokół, jak się należy.“

— „Możesz pisać potém; odwiąż mię pierwéj.“

— „Niepodobna, mój miły panie. Popełniłbym błąd wielki. Pierwéj trzeba spisać protokół, a potém odwiązać. Pójdę poszukać świadków. Przynajmniéj dwóch musi się podpisać. A na to potrzeba czasu, pozwolisz pan; zresztą darmo przyjść niezechcą; ale pan masz zkąd zapłacić. ..“

A potém zwracając się do wieśniaka dodał:

— „Zejdźno czémprędzéj do Pernetty w Maglan; ona ci powié, gdzie jéj mąż, notaryusz. Pójdziesz go poszukać, żeby tu przyszedł. Potém udasz się do Saint-Martin, gdzie znajdziesz Benaitona, kościelnego, który jest tam z pewnością, gdyż przydzwania dziś do ślubu Chozetowi; powiedz mu, żeby przyszedł także. A niech notaryusz weźmie z sobą atrament, — nasz wylał się wczoraj wieczór — i papier stemplowy. Idź mój chłopcze, i spraw się dobrze, z zacnymi ludźmi najlepiéj rachować się na końcu. Idź, a przechodząc przez Veluz, powiedz Jean-Marcowi, że klacz jego ma nosaciznę, i że jéj puszczano krew, ale z jesienią będzie zdrowa. Idź.“

— „A idźcie do diabła! i Jean-Marc, i klacz jego i wy z nią razem!.... głupi wójcie! ludzie bez serca!..... Albo nie, czekajcie, odwiążcie mię, a dam każdemu po luidorze.“

Na tę propozycyę wieśniak, który uszedł już kilka kroków, zatrzymał się nagle otwierając duże oczy, z wyrazem chciwości. Ale wójt ozwał się prędko:

— „Pan zapłacisz protokół i koszta sądowe, a potém jeśli łaska, możesz dać na wino; niezechcesz dać — niebędzie się nikt użalał na to; ale gdybyś pan chciał przekupywać ludzi naprzód, straciłbyś niejednego luidora nic niewskórawszy. Czy-to pan niewiesz, że się jest wójtem gminy, z ojca na syna, zacząwszy od ostatniego Babtysty, mego pradziada, i że pierwéj niestanie wody w Arwie, nim się dopuszczę takiéj sromoty! A tyś jeszcze tu?“ — krzyknął na wieśniaka. — „Bądź pan cierpliwy, przyniosę panu czerwonego wina, to się pokrzepisz.“

Można się domyśléć, że nieznośna jakkolwiek chwalebna szlachetność tego poczciwca równie mię oburzyła, jak jego uszanowanie dla formalności prawa. Zostałem znowu sam jeden, ale tą razą prawie pewny tego, że niedoczekam się

uwolnienia pierwéj jak nazajutrz rano, i starałem się już nawet oswoić z tą myślą. Szczęściem wieczór był ciepły, a powietrze bardzo miłe i pogodne. Słońce chyląc się już ku zachodowi zaziérało horyzontalnie w głąb lasu, zamkniętego we dnie dla jego promieni, i grube pnie modrzewiów rzucały długie cienie na mszystą ziemię połyskującą dokoła jak kobierzec złoty. Kilka sokołów, które przed chwilą krążyły nad moją głową, znikły gdzieś w głębi lasu; kruki przelatywały z krzykiem ponad doliną Arwy, a nawet wierzchołki gór, zmieniając stopniowo swą barwę, zdawały się przechodzić ze stanu życia do spokojności nocnego spoczynku. Ta cisza wieczorna, ten widok natury usypiającéj pod skrzydłami nocy, wywiéra jakiś tajemny wpływ na duszę, który przygłuszając wszelkie smutne myśli i przesądy, upaja serce urokiem słodkiéj melancholii. Pomimo przykrości mego położenia niemogłem oprzeć się temu wpływowi. Serce moje, łagodnie wzruszone, przypominało sobie wrażenia tego burzliwego dnia, i porównając je z uroczą ciszą wieczora, napawało się nią z tém większą roskoszą, pocieszając się oraz nadzieją uwolnienia, chociaż niezbyt wczesnego, to przynajmniéj pewnego i blizkiego.

Tymczasem przy ostatnim blasku zachodzącego słońca pokazało się na moim widokręgu kilkanaścioro ludzi, mężczyzn, kobiét i dzieci, prawie wieś cała. Postacie te, znajdując się między mną i słońcem, rysowały się jak ruchome sylwetki na przezroczystém tle niższych modrzewiów, tak, że z początku niemogłem rozeznać pomiędzy niemi mego wójta i jego dzbanek z winem. A jednak był on w tém gronie, a u boku jego pleban miejscowy, którego zwabiła także wieść o mojéj przygodzie. Widok téj duchownéj osoby pokrzepił moją nadzieję i gotowałem się już w sprawie mego uwolnienia poruszyć w nim w razie potrzeby wszelkie cnoty chrześciańskie.

Był-to kapłan wiekowy i słaby, i szedł téż bardzo powoli.

— „Oh!“ — zawołał spostrzegając mnie, — „te łotry haniebnie pana spowili. Bóg z tobą.“

To szczére powitanie i otwartość zacnego starca napełniły mię radością.

— „Haniebnie, to prawda“ — odrzekłem — „i dlatego téż proszę mi wybaczyć, księżę plebanie, że niemogę się ukłonić ani uchylić kapelusza na jego powitanie. Czy niemógłbym pomówić z panem chwilkę na osobności?..“

— „Najpierwéj zdaje mi się,“ — rzekł z dobrodusznym uśmiechem — „potrzeba odwiązać pana. Będziemy rozmawiać potém daleko wygodniéj. No, Antoine,“ — dodał zwracając się do wójta — „daléj do roboty! Porozcinaj te niegodziwe stryczki, to będzie daleko prędzéj.“

Zaledwie mogłem się zdobyć na kilka wyrazów wdzięczności, które jednak pochodziły w istocie z głębi serca, Antoine, wyjąwszy swój nożyk, zabiérał się już do rozcinania mych więzów; ale jeden z wieśniaków, pragnąc zachować sobie cały postronek, wstrzymał jego rękę, zabrał się zwinnie do węzła i roz-

plątał go po upływie kilku minut. Zaledwie zostałem oswobodzony, uściskałem rękę plebana i w piérwszém uniesieniu radości ucałowałem obadwa jego policzki. Ale wnet uczułem jakiś dotkliwy ból we wszystkich członkach i niemogąc utrzymać się na odrętwiałych nogach, zmuszony byłem usiąść na tém samém miejscu. Wtedy podał mi Antoine dzbanek z winem, a pleban posłał tymczasem jednego z parafian po swego muła, by go ofiarować na moje usługi. Wydawszy potrzebne rozkazy, usiadł przy mnie i rzekł:

— „Jestem gotów słuchać pana.“

I cała wieś, kobiéty, dzieci, pastuchy, wójt i kościelny otoczyli nas kołem. Słońce zaszło właśnie.

Opowiadałem im moją historyę jak najwierniéj. Okropne szczegóły o śmierci Jean-Jeana przejęły zgrozą tych poczciwych ludzi, a gdym powtarzał bluźniercze wyrazy, które wywołały śmiech przemytników: „Jean-Jean módl się niebożę!“ zrobili wszyscy, pleban i parafianie, znak krzyża świętego, zachowując przytém najuroczystsze milczenie. Wzruszony tym widokiem i pragnąc żywo wziąć udział w uniesieniu tego uczucia tak naturalnego, sięgnąłem mimowolnie do mego kapelusza i zdjąłem go. Parafianie spoglądali na mnie z zadziwieniem, pleban zachował swą nieruchomą powagę. a ja.... ja zmieszałem się nadzwyczajnie.

— „I cóż daléj?“ — spytał mię sędziwy kapłan. Skończyłem moje opowiadanie niepomijając ani zbytniéj roztropności wieśniaka, ani chwalebnéj bezinteresowności wójta.

Gdym skończył, powstał pleban i rzekł:

— „To dobrze.“ A potém zwrócił się do parafian i dodał: „Wy zaś posłuchajcie mię. Wy drzycie przed tymi łotrami, a niewiecie, zkąd to pochodzi, że się odważają na wszystko: oto dlatego, że wasza bojaźliwość dodaje im odwagi, a co gorsza jeszcze, że każdy z was korzysta z ich niecnego rzemiosła. Oto widzisz teraz, Jędrzeju, dokąd zawiodła cię twa namiętność do tabaki i nierozsądny zbytek w używaniu jéj? Twój nos napchany tabaką, a chodzisz bez pończoch, mniejsza to jeszcze, że niemasz pończoch, ale ty kupujesz tabakę od przemytników; i cóż ztąd wynika? oto, ażeby się niezadrzéć z nimi, niemasz odwagi ratować człowieka w nieszczęściu, jakto powinien uczynić każdy chrześcianin! Ale wiesz ty, Jędrzeju, że ci rabusie będą się smażyć w piekle, i że czarci będą ich szarpać w kawałki?.... a ja nieodpowiadam wcale za tych, którzy ich oszczędzają! Wierzaj mi, mój chłopcze; używaj mniéj tabaki a kupuj ją w składzie rządowym. Co do Antoniego zaś, temu zdawało się, że dobrze robi, i co znaczy więcéj jeszcze, zrobił w istocie dobrze. Jego wstrzymywał obowiązek, nie zaś chciwość i brudota.“ Przy tych słowach poklepał zacny pleban Antoniego familiarnie po ramieniu, a wójt uszczęśliwiony tą pochwałą w obec całéj gminy, napuszył się jak paw' trzymając w jedném ręku dzbanek, a w drugiém swój trzygraniasty kapelusz.

W ciągu téj rozmowy przyprowadzono muła. Wsiadłem nań przy pomocy kilku wieśniaków i mogłem wreszcie pożegnać się z swoim modrzewiem. Ruszyliśmy. Wójt prowadził muła, a sędziwy pleban rozmawiał ze mną u boku, i malowniczy ten pochód odbywał się zwolna przy ćmawym blasku zapadającego zmroku, który nadawał fantastyczne kształty otaczającym drogę skałom i drzewom. W pół godziny dostaliśmy się do otwartych połonin, zkąd widać było przeciwne brzegi doliny Arwy, osłonięte już grubą pomroką, a w niejakiéj odległości od nas uprawne grunta, kilka drzew bukowych i pochylony szczyt staréj dzwonicy. Była-to wieś. Gdyśmy weszli do niéj, zwrócił się pleban do swych parafian i rzekł:

— „Dobranoc wam wszystkim moje dzieci. Tobie zaś, panie“ — dodał zwracając się do mnie — „mogę ofiarować, jeśli przyjmiesz, nocleg i wieczerzę. Wprawdzie post u mnie dzisiaj, ale poznałem na górze, żeś pan nie katolik, zaczém uraczę cię czémś posilniejszém.“ „Marto,“ — zawołał zbliżając się do plebanii — „upieczno jak najprędzéj dobrą kurę i daj mi klucz od piwnicy.“

Jadłem wieczerzę sam na sam z tym szanownym starcem; a gdyśmy wychylili do dna butelkę starego wina, którą wydobył dla uczczenia méj obecności, pożegnałem mego gospodarza, by użyć nieco spoczynku tak wielce potrzebnego dla mnie w téj chwili.

Nazajutrz spuściłem się do Maglan. Miałem wprawdzie zamiar odwiedzić Chamounix, ale po wzruszeniach tak żywych i tak niemiłéj przygodzie, straciłem ochotę włóczyć się dłużéj po kraju, i pożegnawszy co prędzéj góry, starałem się jak najkrótszą drogą powrócić na łono mojéj rodziny.

## Burza w rozmaitych okolicach Andów. -- Gwiazdy.

Największa cisza we dnie bywa w tych odwiecznych, zwrotnikowych lasach podczas wilgotnéj pory roku, zwykle poprzedniczką burzy. Zwierzęta znają dokładnie wszelkie zmiany zwiastujące ten meteoryczny dramat. Wszystkie stworzenia chronią się około godziny 1 z południa w najgęściejsze zakąty lasu. Nawet papugi przestają wrzeszczéć i kłócić się. Ukryte pod sklepieniem drzew oczekują wszystkie w niemej trwodze rozpoczęcia gwałtownéj sceny natury.

Burza zwrotnikowa wcale różni się od orkanów strefy umiarkowanéj, już swém ponawiającém się prawie codzień zjawiskiem, już przepyszną panoramą obłoków, a osobliwie niesłychaną siłą swych elektrycznych bateryi i deszczu, a zapowiada ją wnet pojedyncza, wnet napiętrzona kupiasta chmura (strato cumulus), która zwykle już przed południem pojawia się na północno-wschodnim krańcu widokręgu, i powoli osnuwa grzbiet i szczyty gór Cordyllerów. W środkowéj Ameryce przybierają prawie wszystkie burze jednakowy kierunek, od północno-wshodniéj ku południowo-zachodniéj stronie. Przez kilka godzin wisi nieruchomie ta gęsta, górzasta chmura, z szarym, ząbczastym rąbem około czarnego rdzenia nad szczytami Andów. Patrzącemu zdala oku, zdaje się ona raczéj być przyczepioną do szczytu góry niźli unosić nad nią. W górzystych okolicach Kostoryki powstają prawie wszystkie chmury nad wulkanami, które wznoszą się tam na grzbiecie lub u boku góry. Wysoki wulkan w Kartadze bywał od maja aż do listopada, nawet w najpiękniejsze dnie regularnie na godzinę przed południem osuty owemi gęstemi chmurami.

Pewien sławny poeta i badacz przyrody nazwał chmury przy sposobności swéj podróży alpejskiéj „przepysznym dywanem, którym bogowie zasłaniają przed nami swe cuda“. Nam wydają się one w okolicach zwrotnikowych przecudną draperyą nieba, która raczéj podnosi niż zasłania błękitną jego wspaniałość. Chociaż człowiek od młodych lat widuje takie zjawiska powietrza, na równinach przecież uważają ludzie chmury za coś obcego, nadziemskiego, „jako goście lub ptaki wędro-

wne, które zrodzone pod innêm niebem, przeciągają chwilowo nad tą lub ową okolicą.“ Na grzbiecie Andów, jak we wszystkich wielkich górach, sąsiaduje z niemi człowiek, mieszka pomiędzy niemi, i widzi, jak się tworzą i przekształcają.

Wiatr północno-wschodni porusza z miejsca tę piętrzastą chmurę. W godzinę po południu stoi już zwykle w zenicie. Wówczas ciemno-błękitne niebo, z swemi podartemi szmatami chmur przy uroczystéj ciszy na ziemi, przedstawia widok piękniejszy nad wszelkie opisanie. Jeszcze wyprzedzają i unoszą się inne, leksze obłoki, jakoto zwane (cirrus i cirrostratus), po naszemu Baranki, nad potężną piorunową chmurą. Obok niéj pojedyncze, kupiaste chmurki. Jeśli pod główną chmurą pokazują się gęste, błyszczące obłoczki, można spodziewać się orkanów i wichrów, które podwajają wówczas gwałtowność burzy.

Naraz znika malownicza draperya firmamentu. Leksze obłoczki przyciągane od ciężkich chmur, zlewają się z niemi, i wkońcu zmienia się wszystko w jedną, posępną chmurę popielatéj barwy. Siła tych burz bywa rozmaita w miarę tego, jakie masy żywiołów elektrycznych nagromadziły się w powietrzu. Najwspanialszy jednak widok przedstawia ten meteoryczny dramat nie w właściwéj górnéj krainie Kordyllerów, lecz w lesistych podgórskich okolicach w pobliżu wulkanów.

Chociaż przy codziennêm prawie ponawianiu się tych burz zwrotnikowych powszednieje cokolwiek wrażenie, jakie sprawiają na widzu, należą one przecież do rzędu najgwałtowniejszych, naturalnych scen naszego planety. Z głównym prądem burzy ztykają się w środkowéj Ameryce częste chmury pędzone przeciwnym wiatrem, i wtedy następują eksplozye elektryczne niesłychanie silne. Nawet ostatnie bombardowanie i kanonady pod Sebastopolem, prawie bezprzykładne w wojennéj historyi ludów, niewstrząsały może tak silnie atmosfery krymskiéj ani ogłuszały do tego stopnia rosyjskich i francuzkich uszu, jak nas niekiedy ta artylerya napowietrzna w zwrotnikowych lasach Kostoryki i Guatemali. Gdy odwieczne olbrzymy lasów uginają z trzaskiem swe dumne karki, gdy rozłożyste wachlarze palmowych liści szumią w zawody z falami oceanu, a wiklaste liany wstrząsane wichrem jęczą jak arfy Eola — gdy przy têm wszystkiém błyskawice jak węże ogniste drgają na ciemnêm tle lasu, bateryе napowietrzne dają nieustanne salwy, a strugi deszczu nakształt upustu spadają przez otwory zielonego sklepienia lasu — wówczas przypatruje się wędrowiec z północy, dla którego to zwrotnikowe zjawisko ma jeszcze urok nowości, z podziwieniem i grozą téj okropnéj scenie przyrody pod ochronnym dachem swojego rancho. Jakże łagodnym wydaje mu się w téj chwili charakter przyrody w jego ojczyźnie! Jakże mdłe są meteoryczne sceny północy w porównaniu z burzami strefy równikowéj.

Początek burzy zwrotnikowéj nieprzypada w środkowéj Ameryce tak regularnie o jednéj godzinie, jak zapewniają niektórzy podróżni opisując te okolice. Około południa słychać zwykle piérwsze dalekie gromy. Między piérwszą i drugą godziną z południa nastaje najczęściéj właściwa burza. Często jednak zmienia się i godzina. Widok nieba, położenie chmur na widokręgu, zapowiadają doświadczonemu oku z niejaką pewnością początek burzy. Myśliwy lub zbiérający zioła botanik wié doskonale, kiedy ma schronić się pod palmowy dach swego rancho, i spoczywając na wiszącéj rogózy przeczekuje burzę, która w Kostoryce i Guatemali trwa zwykle trzy do cztérech godzin. Czasem zdarza się jednakże, że zapał łowienia lub zbiérania zadaleko go zaprowadził, lub że się zabłąkał w zwodniczéj gąszczy i niemógł zawczasu dostać się do chaty. Wtedy może nazwać się szczęśliwym, jeśli w jakiém wypróchniałém drzewie znajdzie schronienie przed burzą i ulewą. Najgęstsze sklepienie liści cedrelu lub ceiby niemoże zasłonić dostatecznie przed natarczywością wzburzonych żywiołów. Mimo wszelkiego przyzwyczajenia przejmuje w takich wypadkach najśmielszego nawet jakiś rodzaj trwogi.

Niezapomnę nigdy kilka takich epizodów mego koczowniczego życia, jak np. w lesistéj pustyni zwanéj „Jezus Marya“, między San Jose i odnoga Nicoya, o kilka mil od Cichego Oceanu, gdzie nawet najdoświadczeńszy łowiec może łatwo się zabłąkać w labiryncie poplątanych z sobą krzewów. Tu łączy się z okropnością meteorycznéj sceny jeszcze inny, wcale niemiły fenomen: podziemny huk wulkanu Herradury — przytłumione salwy gromów wewnątrz ziemi, które w tym kraju zwą się *Retumbos*, i powstają całkiem niezawiśle od trzęsienia ziemi i wybuchów wulkanicznych.

Pod Capetillo, u stóp wulkanu de Fuego w Guatemali zaskoczyła mię raz najstraszniejsza burza, jakiéj dożyłem, i pioruny przelatywały tak blizko mnie do koła, że koń mój padł i ja sam na kilka minut postradałem czucie w prawym boku. Wysoki ten wulkan, wznoszący się ponad rajską doliną Staréj Guatemali jak olbrzymia piramida, zdaje się działać na burze ciągnące z północno-wschodniéj strony tak samo jak magnes na żelazo. Gęste, piorunowe chmury lubią zatrzymywać się długo przy nim albo nad nim. Nieraz widywałem, że burza miotała swe najjaśniejsze rakiety nad tą górą, a podług opowiadania tamtejszych Indyan, uderzają czasem pioruny nawet w dymiącą odchłań wulkanu, na który niewstąpiła jeszcze żadna noga ludzka.

W przeciągu godziny traci burza zwrotnikowa zazwyczaj swą siłę lub odciąga daléj. Deszcz zmniejszający się stopniowo trwa potém jeszcze kilka godzin. Częstokroć zachodzi słońce nawet w słotnéj porze na pogodnym zupełnie widokręgu, i zachodowi jego towarzyszy wtedy stugłośne pożegnanie licznych ptaków, osobliwie wesoły wrzask papugi i tukanu, a w górnych strefach najdźwięczniejszy śpiew cilgera. Niejest-to melancholiczny śpiew grobowy, ale raczéj wesołe pozdrowienie, którém ptastwo leśne żegna odchodzącego króla nieba. Wiedzą przecież wszystkie istoty żyjące, że jutro już ukaże się znowu, młodszy i promienniejszy niżli pożegnał je z wieczora. Posępne głosy odzywają się w lesie dopiéro ż zapadającym zmrokiem. Stworom nocnym zbywa na wszelkiéj melodyi. Wespół z sową, żabą i tygrysem wyją także Kujoty przeraźliwym chórem. Ten rodzaj dzikich psów, pośredni między szakalem i wilkiem, włóczy się tylko w nocy stadami, i to najczęściéj u krawędzi lasu. Wrzask ich ma szczególniejsze podobieństwo z głosami ludzkiemi, i nieraz zdaje się dalekiemu uchu, że słyszy dziką wrzawę pijanéj hordy Indyanów.

Nad pięknością zwrotnikowego nieba w jasne zawsze prawie nocy unosili się wszyscy podróżni w téj strefie. Niebo, to jest nierównie czystsze i wspanialsze w ciągu pory słotnéj, gdy opadają mgliste wyziewy, niż w suchéj porze roku, gdyż wtedy błękitowi jego zbywa na sile i przezroczystości. Zresztą trudno powiedzieć, w którym peryodzie obiegu ziemi najpiękniejszym jest widok téj gwieździstéj kopuły. Jakkolwiek miłe wrażenie sprawia jasny, pogodny poranek, jakkolwiek wspaniale wygląda niebo południowe z swą olbrzymią oponą z chmur, przecież łagodny obraz nocy, promiennéj srebrnym blaskiem księżyca, zachwyca nierównie więcéj nie jednego miłośnika przyrody. A nawet nocy, nierozjaśnione blaskiem trabanta naszéj ziemi, tylko wilgotnym połyskiem gwiaździstego nieba, mają właściwy swój urok.

Wspominaliśmy już raz przy sposobności, że równie jak stoki Andów nad równikiem od skwarnych okolic nizin aż do wysokości wiecznego śniegu przedstawiają wszystkie główne formy roślinnéj wegetacyi ziemi, nastręcza także niebo tamtejsze astronomowi widok wszystkich najświetniejszych konstelacyi, jakie krążą w przestrzeni świata pomiędzy obydwoma biegunami. Oprócz gwiaździstych grup północy i Zwierzyńca, dostrzega oko także gwiazdy południowéj hemisfery, których widok tém bardziéj zachwyca podróżnego z północy, że jest nowy dla niego.

Kto południowe konstelacye zna z opisu tylko, tego przejmuje szczególniejsze uczucie, gdy widzi z osobna każdą grupę tych ciał niebieskich, które przedtém znał z rysunku tylko, poraz pierwszy jaśniejącą w całym blasku na widokręgu. Oko jego szuka przedewszystkiém sławnego *Krzyża południowego*, o którym Dante śpiewał w proroczém natchnieniu *), gdy astronomowie jeszcze nic o nim niewiedzieli, i którego pierwszy widok wprawił Humboldta w tak wielkie zachwycenie! W pobliżu jego znajdują się owe *płatki mgliste*, w których teleskop rozróżnia tysiące gwiazd rozmaitego koloru, czerwone, niebieskie, zielone; a poniżéj widać tak zwane „Wory węglane“, owe niepojęte próżnie w przestworzu nieba bez gwiazd i światła, których widok już sławnego odkryciela Ameryki w zdu-

*) Dante powiada w swém Purgatorio — Canto I:
„I' mi volsi a mia destra e posi mente
All' altro polo e vidi quattro stelle,
Non viste mai fuor che alla prima gente.
Goder pareva il ciel di lor' fiamelle.
Oh settentrional vedovo sito,
Poi che privato sei di mirar quelle.

Philalethes (dostojny nieznajomy) tłumaczy tak ten ustęp:

„Zwróciłem się na prawo ulatując myślą
Ku drugiemu biegunowi, i ujźrzałem gwiazd cztéry
Których prócz piérwszych ludzi nikt jeszcze niedostrzegł.
Niebo samo zdawało się radować ich blaskiem.
O północna, owdowiała strefo ziemi,
Tobie niedozwolono ich podziwiać.“

mienie wprawił. Blask i piękność południowego krzyża, owych przecudnie ugrupowanych gwiazd pierwszego, drugiego, trzeciego, czwartego i piątego rzędu, podnosi widocznie sąsiedztwo tych ciemnych, niedocieczonych „Worów węglanych“, które z obu stron przerzynają do nieprzejźrzanéj głębokości wąską drogę mleczną.

Czystość zwrotnikowéj atmosfery w porównaniu z północną ocenić można najlepiéj z widoku znanych konstelacyi, jak np. Oriona. O ileż piękniejszym jest blask téj przecudnéj grupy w strefie równikowéj na ciemnobłękitnym widokręgu, niżli u nas na północy. Nawet Indyanie południowych krajów, którzy nie jak mieszkaniec północy z badawczą myślą, lecz z głuchém marzeniem przypatrują się nocnemu niebu, znają błyszczący pas i głowę téj figury gwiaździstéj, którą Arabi „Olbrzymem“ nazywają. Także znany „Król gwiazd“ Sirius, siedzący na nozdrzu „wielkiego psa“, wygląda na niebie zwrotnikowém nierównie majestatyczniéj niż u nas w strefie umiarkowanéj. Ta najjaśniejsza gwiazda, którą Ptolomeusz jeszcze policza do rzędu gwiazd czerwonawych, połyskuje teraz światłem najczystszéj białości. *) Po niéj odznacza się tu *Canopus*, stojący u południowego stéru „Okrętu“, najsilniejszym blaskiem pomiędzy nocnemi słońcami. Grupy gwiazd północnych wydają się dziwnie jakoś patrzącemu z tak odwiecznego stanowiska. Potrzeba dość długiego czasu, nim oko się zoryentuje i rozpozna owe znane grupy zacząwszy od „wielkiego niedźwiedzia“ aż do „włosów Bereniki“ i „Kassiopey“.

Pomimo wszelkiéj jednak czystości téj atmosfery, niemoże już nawet najlepszym teleskopem uzbrojone oko odszukać na niebie zatraconéj w téj ostatniéj grupie „Peleriny“. Gwiazda ta, która jak wiadomo przed trzystu laty prawie błyszczała jaśniéj niż Sirius, a nawet niż celująca blaskiem Wenus i Jupiter na niebie, i którą nawet w jasny dzień widzieć było można, a potém zgasła dla oczu na zawsze. Światu zaś pozostała tylko jedna zagadka więcéj do rozwiązania i ta smutna pewność, że równie jak organiczne życie stworzenia, także i gwiazdy na niebie są znikome i śmiertelne.

Ciemne ciała niebieskie porównywano z trupami gwiazd. Dla nas nieistnieją już one. Jeśli słońce straci swe światło, ustanie także jego życie, równie jak i życie planet i przyrody, która się rozwijała pod wpływem jego światła. „Jeśli inne słońca“ — pyta pewien sławny badacz natury — „gasną docześnie, niemożeż podobnego losu doznać także nasze słońce? Gdzie raz pokaże się nieograniczona zmiana siły światła, któż może ręczyć za pewne jéj ograniczenie? Cożby się stało z nami, przywykłymi do światła mieszkańcami ziemi, jeśliby zgasła gwiazda dni naszych, a z nią naturalnie księżyc i planety? Pogrążeni w ciemności nocy, ograniczeni na światło gwiazd, skąpe światełka polarne i lichy blask gazu, pozbawieni ciepła słonecznego a niebawem także i wegetacyi, oczekiwalibyśmy bez pociechy i nadziei chwili powszechnego zniszczenia.“

A przypuśćmy zresztą, żeby nasze słońce nieuległo żadnéj zmianie, i tylko owe dalekie słońca, które zowiemy stałemi gwiazdami, doznały losu Peleriny i po chwilowém wysileniu straciły blask swój na zawsze — jakąż stratę ponieślibyśmy wtedy, nawet my mieszkańce innéj sfery świata! Jakiéj pociechy zostałoby pozbawione życie, jakiéj nadziei dusza człowieka! Nawet owe łagodne nocy zwrotnikowe straciły cały powab, cały swój urok dla nas......

Komentatorowie wielkiego piewcy spierają się wiadomo o to, czy wyrazy te wyszły tylko z jego fantazyi, lub téż czy Dante niesłyszał przypadkiem od Marco Pola, który w roku 1295 powrócił z swéj podróży do Jawy i Madagaskaru, o osobliwszym blasku południowego krzyża. Andrea Corsali pisał o téj konstelacyi w roku 1515. Biegun południowy oznaczają wyraźnie dwie małe chmurki, które to wznosząc się, to spadając, krążą dokoła niego i mają w pośrodku gwiazdę, oddaloną o 11 może stopni od bieguna. Nad temi chmurkami połyskuje cudowny krzyż takiéj piękności, że zdaniem mojém niemożna go porównać z żadną inną konstelacyą. — Dopiéro Reyer utworzył z owych pięciu gwiazd, które dawniéj jeszcze do Centaura policzano, w roku 1697 osobną konstelacyę. — Humbold powiada w swém dziele „Kosmos“, że przed 4750 laty dla innego położenia ekliptyki, widziano południowy krzyż aż do wybrzeży Baltyku, ale za czasów Dantego było już wcale inaczéj.

*) „Pokazuje się więc, że nawet gwiazdy zmieniają swą barwę;“ — pisze jeden z sławnych badaczy natury. — „Możnaż się dziwić jeszcze, że ludzie robią tak samo?“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*